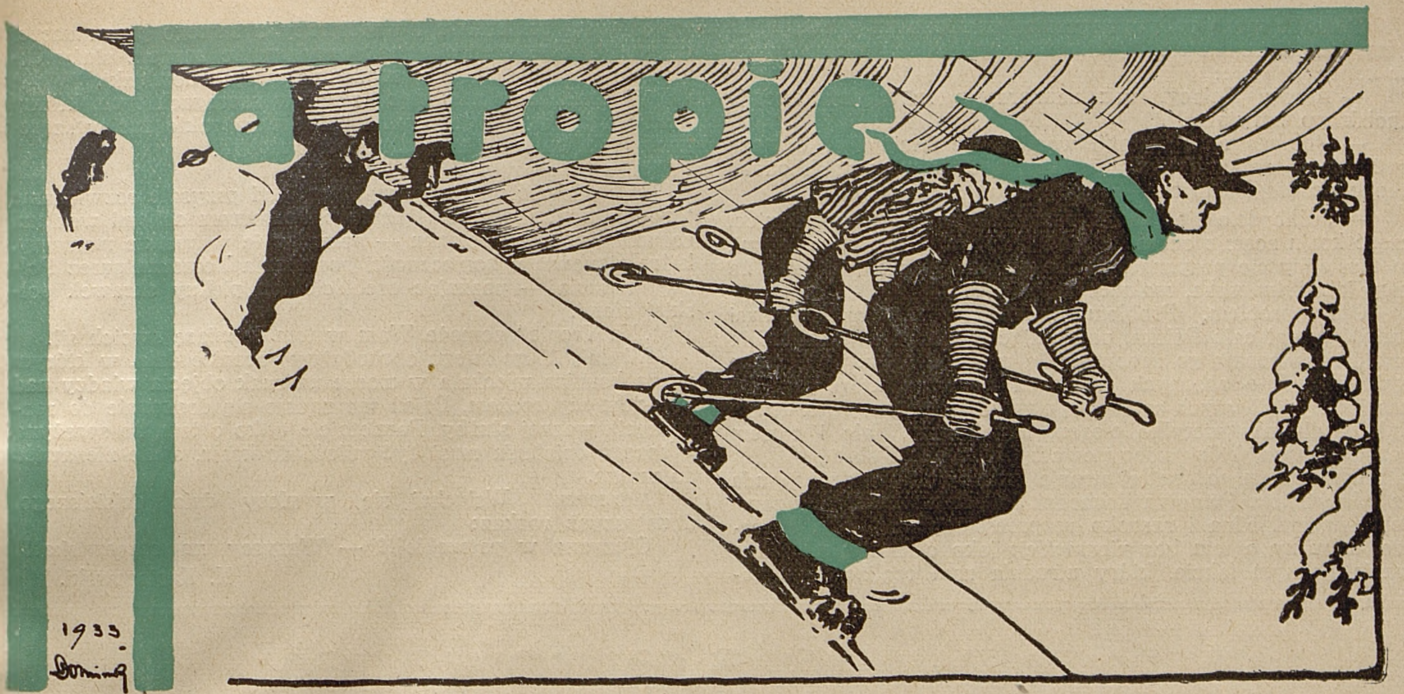
Rok VI. Katowice, dnia 25 stycznia 1933 r. Nr. 2.



Rys. Wł. Domiszewski.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ
Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca

GAWĘDA NACZELNICZKI.

PO NOWYM ROKU.

Cieszyliśmy się niedawno, że nadszedł Nowy Rok, bo nam się zdawało, że zamknął się pewien okres życia, a rozpoczął inny, lepszy, weselszy i pełen dobrych nadziei na przyszłość. Niepowodzenia i przykrości roku ubiegłego zostały wybaczone i zapomniane, bo pocóż wspominać przeszłość, gdy jasna przyszłość przed nami.

A przecież historja starego i nowego roku powtarza się stale od wielu wieków, wiemy więc, że ta kalendarzowa uroczystość ma w gruncie rzeczy niewielki wpływ na prawdziwy bieg życia. I nawet trudno byłoby uwierzyć szczerze, że Nowy Rok przyniesie sam przez się jakieś dobre zmiany w naszym losie, tak jak nie godzi się liczyć na pomyślne okoliczności, nie zastanowiwszy się przedewszystkiem, jaką jest nasza własna rola w kształtowaniu kolei naszego życia. Myślę, że zwłaszcza w młodości, nie wolno nam czekać na takie niezasłużone i niewypracowane uśmiechy losu, wtedy gdy każdy rok, każdy miesiąc i dzień ważne są dla budowania naszego życia, którego cały późniejszy bieg zależy od naszej woli, tężyzny i wytrwałych dążeń młodości.

Raczej trzeba pamiętać, że nowy rok wkrótce już będzie za nami, że stanie się starym rokiem, którego żadnemi zaklęciami nie wywołamy z mroków przeszłości, który jednak w rachunku naszego życia będzie miał pozycję przez nas samych zapisaną.

Czyż pomyślawszy o tem, nie chwycimy mocno w garść roku nowego i nie nagniemy jego biegu tak, by przy ostatecznym rozrachunku w przyszłego Sylwestra nie mieć żalu do niego, ani — do siebie.

Bo często zdarza się, że ludzie narzekają na swój los, na zły rok, który przyniósł same niepowodzenia, a rzadko kto pomyśli o tem, jak też on zachował się wobec tych wydarzeń i czy przypadkiem wiele z nich nie było właśnie wynikiem jego postępowania. Tymczasem tak już jest, że nasze zwycięstwa i porażki, zdobycze i straty życiowe i wszystko co nas spotyka, dostosowuje się niejako do osoby, której się przydarza. Gapa i niezdara nie miewa bohaterskich przygód, bo nigdy nie wychodzi im naprzeciw, a nadarzającą się okazję ze strachem ominie. Człowiek o oschłem sercu nie zrobi nic dobrego, bo nie dostrzega przechodzącej tuż obok biedy ani nie wczuje się w położenie potrzebującego. I tak możnaby mnożyć przykłady na potwierdzenie tej prawdy, że to nasz własny charakter, usposobienie i wola kształtują nasz los, który w istocie swej zależy nie od tego, co się koło nas zdarzy, ale jak my zachowamy się wobec tych zdarzeń.

Dlatego nie czekajmy aż Nowy Rok sypnie nam pomyślnością z rogu obfitości. Sami pokierujmy jego biegiem i, mocno trzymając w ręku ster naszego życia, dążmy śmiało naprzeciw trudów, zdobyczy, pomyślnych zdarzeń i — klęsk z których zawsze potrafimy wydobyć jądro prawdziwej wartości.

Jadwiga Wierzbiańska.

WSZYSCY NA STANOWISKA.

Podczas mego pobytu zagranicą zwróciło moją uwagę, że przy każdej rozmowie, jakikolwiekby był jej temat, pada w końcu pytanie:

— A wy, Polacy, jak zamierzacie rozwiązać kwestję „polskiego korytarza“?

— Dla nas taka kwestja wogóle nie istnieje. Nie może być nawet mowy o tem, abyśmy kiedykolwiek mieli oddać choćby część Pomorza — odpowiadam z przekonaniem.

— Jeślibyście się jednak postawili w położenie Niemiec, część kraju zostaje oddzielona od państwa pasem obcej ziemi, to musielibyście przyznać, że nie do pomyślenia jest fakt, że niby jakaś śmieszna, malutka kolonja...

Oto i problem. Problem, w którego rozwiązaniu musi wziąść udział cała Polska, pamiętając jednak o tem, że każda próba rozwiązania go zaczynać się musi od słów: **nie może być dyskusji o obecnych granicach Pomorza,** które jest dla nas jedną z głównych arteryj życia państwowego. Jego utrata byłaby dla nas nietylko ciosem narodowym, ale i ciosem gospodarczym, który zdecydowałby o losach Polski!

Tymczasem po drugiej stronie granic polskich propaganda za oderwaniem Pomorza dochodzi do punktu kulminacyjnego. Jest sprytna, silna i szeroko rozprzestrzeniana. My, harcerze, mówimy o tem bez nienawiści: jako o smutnym, ubolewania godnym fakcie, który utrudnia nam realizowanie naszych haseł braterstwa i współpracy u samego progu naszej ojczyzny. Pamiętamy jednak przytem, że harcerz służy Ojczyźnie i spełnia dla niej sumiennie swoje obowiązki.

Ni ezabraknie nas więc dzisiaj w szeregach tych, którzy bronić będą całości jej granic, jak nie zabrakło nas w szeregach tych, co o jej niepodległości walczyli.

A więc co robić?

— Budować w kraju **fundament** pod przyszłe rozwiązanie tego problemu przez **związanie z Pomorzem silnemi węzłami rozumu i uczucia:** rozumu — poznając te wszystkie momenty, które stanowią o konieczności posiadania Pomorza przez Polskę; uczucia — poznając osobiście ten piękny skrawek polskiej ziemi.

„Na Tropie“ pomoże Wam w tem w miarę swoich sił.

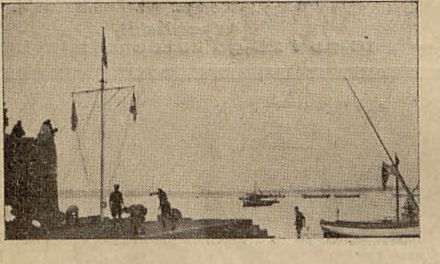
W dniu 10-go lutego obchodzimy rocznicę dnia, w którym nasza konnica wjechała w morze na znak objęcia władzy nad polskiem wybrzeżem. Dzień ten nadaje się doskonale do rozpoczęcia waszej służby. Pamiętajcie tylko o tem, że sprężyną Waszego działania musi być miłość do kraju, a nie nienawiść do wroga.

Harcerzu! Wsłuchaj się w głosy dnia dzisiejszego, a usłyszysz rozkaz:

Ojczyzna w potrzebie!!! — Wszyscy na stanowiska!!!

H. Kapiszewski.

Ze świata skautowego.



Flota greckich skautów morskich, o których specjalna korespondencja na str. 23.

NACZELNY SKAUT, Lord Baden-Powell, wygłosił w grudniu w Liverpoolu przemówienie, w którem podniósł wielkie zasługi tamtejszych skautów w niesieniu pomocy bezrobotnym. Przemówieniu przysłuchiwało się sześciuset skautów miejscowej starszyzny.

W BIRMINGHAM (Anglja) jedną z najdzielniejszych drużyn jest 202-ga. Są to sami biedni chłopcy, żyjący w bursie miejskiej. Przedstawień i t. p. imprez urządzać im nie wolno, a przecież na uniform skautowy trzeba jakoś zarobić. Nie święci garnki lepią, a właśnie skauci z Birmingham. I nietylko garnki: zabawki, sprzęty i ozdoby domowe, różne piękne rzeczy, które łatwo sprzedać. Za zarobione pieniądze nikt nie objada się cukierkami. Drużyna jest nietylko doskonale umundurowana, ale i wyekwipowana w cały sprzęt obozowy. Każdy nowo wstępujący członek otrzymuje od drużyny mundur. Na gruntach przynależnych do bursy wybudowali własnym przemysłem schronisko letnie i zimowe, w których każdy zastęp ma swój pięknie przyozdobiony kącik.

DRUŻYNA SUNDERLANDZKA (Anglja) dopiero przed paru tygodniami wykluła się z gromady zuchowej i odrazu wynajęła sobie wspaniałą świetlicę w prywatnym budynku. Swój awans upamiętniła drużyna postanowieniem, że każde sobotnie popołudnie poświęci dobrym uczynkom. Na pierwszy ogień poszedł dom, w którym wynajęto izbę. Drużyna przyszła z pomocą służbie, przeprowadzającej sobotnie porządki w ogromnym gmachu. Jeden dobry uczynek jest ojcem drugiego: właściciel domu obniżył drużynie czynsz. — Na 3 godziny dziennie oddaje drużyna izbę swoją na czytelnię i gry pokojowe bezrobotnym.

W KONGO BELGIJSKIEM istnieją 23 drużyny murzyńskie i 2 europejskie. — Skauci tamtejsi korzystają z poparcia i pomocy misjonarzy. Nawet w jednej ze szkół misjonarskich wprowadzono specjalne kursy skautowe dla przyszłych kierowników drużyn.

KAPELANI organizacji „Scouts de France“ przechodzą specjalne kursy kapelańskie w skautowej szkole instruktorskiej Chamarand pod kierownikiem Pere Sevin, kierownika wyszkolenia skautmistrzów we Francji.

BEZDOMNI, BEZROBOTNI PARYŻA znajdują na noc przytułek w wielkich barakach ustawionych na pontonach wzdłuż brzegów Sekwany. Posiłek rozdają w tych barakach drużyny skautowe Paryża — pełniąc służbę kolejno w poszczególnych regionach.

„SCOUTS DE FRANCE“, jedna z 3 istniejących we Francji organizacyj, otwarła w maju ub. r. swoje własne prewentorjum w Buclans, gdzie są przyjmowani skauci z nadwątlonem zdrowiem. Budynek położony w ślicznej okolicy. Życie całe zorganizowane w system skautowy, a do tego bardzo nieduże ceny za pobyt sprawiły, że lecznica jest stale pełna.

KIEROWNICZKAMI GROMAD ZUCHOWYCH we Francji są w 90% skautki. Pełnią one nietylko funkcje wodzów gromad, ale także funkcje w Komendach Hufca i Chorągwi.

CHINY, spływające krwią pod karabinami Japończyków, weszły ostatnio do Międzynarodowego Biura jako młodzik skautowej organizacji. W Pekingu i Shanghaju istnieją drużyny męskie i żeńskie. Kierowniczkami są przeważnie Anglicy. Ostatnio powstały żeńska i męska drużyna w Szechuanie, w pobliżu granicy rosyjskiej. Nawet w Fakumenie, w Mandżurji, istnieje drużyna żeńska, choć kraina ta roi się od niebezpiecznych bandytów, stosujących najczęściej uprowadzenie w celu wymuszenia okupu. Na zamiejską wycieczkę wychodzi drużyna uzbrojona jak na wojnę.

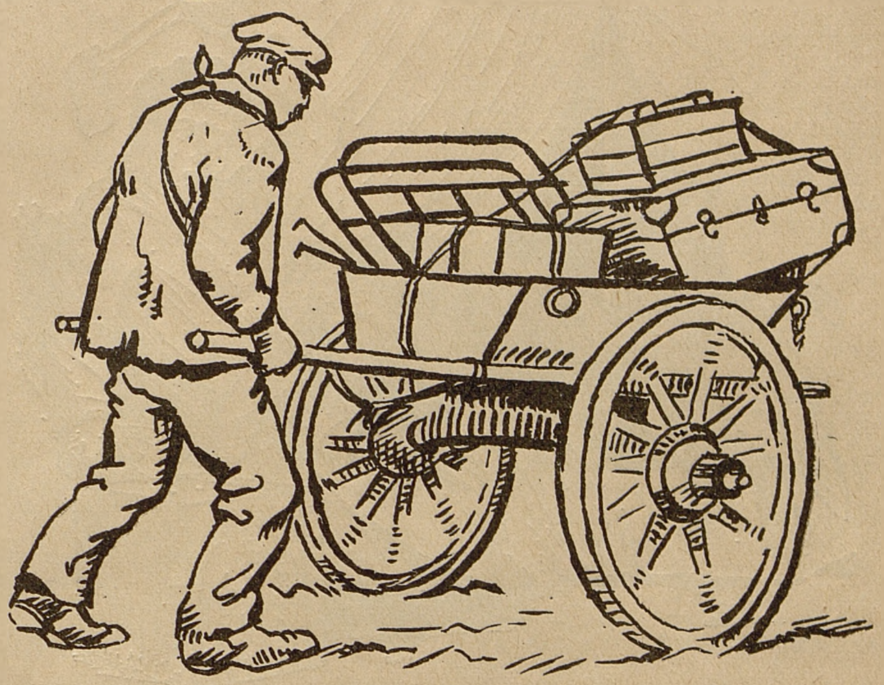
„DZIEŃ PRACUJĄCEGO DZIECKA“, obchodzony jest uroczyście w Ameryce 28 stycznia corocznie. Nie polega on tylko na wygłupianiu się w pochodach i przemówieniach. „Narodowy komitet pracującego dziecka“ rozwija intensywną działalność, w której dzielnie dopomagają mu amerykańscy skauci. Praca komisarza polega na ochronie praw pracującego dziecka (dziecko zatrudnione musi mieć odpowiedni wiek, fizyczną sprawność i nie może pracować równie długo jak dorośli) i przychodzenie mu w każdej potrzebie z pomocą. Komitet ma obecnie dużo pracy, bo niejednokrotnie cała bezrobotna rodzina utrzymuje się z pracy dzieci.

RUMUŃSKI KRÓL pozwolił rumuńskiej organizacji skautowej wydać serję znaczków dla upamiętnienia odbytego w lipcu ub. r. II-go narodowego Jamboree w Sibiu. Znaczki mają pełną wartość pocztową.

W INDJACH zeszłego roku grasowała cholera. Zarażone okręgi izolowano. — Hindusi są naogół apatyczni i w wypadkach nieszczęśliwych z rezygnacją oczekują decyzji swych ponurych bóstw. — Siostra miłosierdzia odwiedzająca zarażone obozy widzi małą dziewczynkę, ciężko chorą, leżącą prawie bez przykrycia na kamiennej podłodze. Siostra daje rodzicom wskazówki jak ratować. Hindusi ani drgną. Siostra wybiega, by przynieść potrzebne środki. Po powrocie spostrzega małego chłopca, który aplikuje chorej dziewczynce proste środki, które poprzednio wskazała rodzicom chorej. Chłopczyk jest bratem dziewczynki, też Hindusem, ale oprócz tego — skautem.

ZOFJA SZATKOWSKA
(Kossak-Szczucka).

S. O. S.



5)

Nie wiem wprawdzie jaki może być z tego dla biednych dzieci pożytek, ale cóż miałem zrobić? Odesłać? Zatrzymałem... A nuż przydadzą się komu kiedy?...

Papier jest doskonały jako materjał do izolowania ścian. Cienkie przepierzenie obłożone papierem trzyma ciepło lepiej niż gruba ceglana ściana... — pouczała pani Wyrobkowa. Mogła mieć doświadczenie w tej sprawie, ściany na pięterku będące w taki właśnie sposób sklecone z cienkich desek i obłożone pod tynkiem warstwami makulatury, w których swobodnie harcowały myszy.

— Prawda, że i to pożytek, przyznał ksiądz Michalak i szychtę książek złożono w jednym z zajmowanych przez niego pokoi, składając ją na dwu deskach dla zabezpieczenia przed wilgocią zarażonej grzybem podłogi.

Na krótko przed zakończeniem swego bytowania, domek na zarosłym chwastami placu miał szczęście do lokatorów większe niż kiedykolwiek poprzednio, nie minęło bowiem parę dni, gdy zgłosiło się dwu amatorów na t. zw. górkę. Przedstawili się jako studenci politechniki warszawskiej, którzy z powodów od siebie niezależnych musieli przerwać studja na pół roku i teraz chcieli znaleźć tani a spokojny kąt, gdzie pracując, tęgo mogliby dogonić czas stracony.

Wymienili swoje nazwiska: Roman Ilski, Wacław Kobuz.

— Ależ na tym placu ma stanąć budynek i gdy tylko zaczną się roboty — ten dom będzie rozebrany, — tłómaczył ksiądz Michalak.

— Prędzej jak za dwa miesiące roboty te pewno się nie zaczną?

— Niestety, nie.

— My też nie mamy zamiaru dłużej tu przebywać, dwa miesiące wystarczą nam z pewnością najzupełniej, oczywiście gdyby dom miał być rozebrany wcześniej, usuniemy się natychmiast bez pretensji...

Ksiądz Michalak pocierał dłonią szorstki, od paru dni niegolony podbródek w zamyśleniu, przyglądając się im obu badawczo. Ilski nie robił ostatecznie przykrego wrażenia, lecz towarzysz jego miał zdecydowanie nieprzyjemną twarz. Trudno określić w czem to leżało, bo rysy miał dość regularne i prostą postawę. Może w niespokojnym blasku migotliwych, unikających spojrzenia wprost w cudze źrenice oczu, lub nieżyczliwem skrzywieniu wąskich warg. Dość, że ksiądz Michalak, mający jak wszystkie istoty bardzo czyste i dobre, nieomylną prawie intuicję co do moralnej wartości ludzi z którymi się stykał, — pomyślał sobie w duszy: to nie jest dobry człowiek... To prawdziwy kobuz, drapieżnik...

Lecz, że miał serce anielskie, zawstydził się zaraz w duchu tych posądzeń, i w obawie, by o nieznajomym, a kto wie, może najlepszym w świecie człowieku nie wydać złego sądu bez podstawy, odsunął ręką niby natrętną muchę niezawodne ostrzeżenie instynktu.

— Będzie tu ciasno, niewygodnie... — próbował jeszcze zniechęcić przyszłych lokatorów.

— Ale pewnie tanio, to zaś dla nas wzgląd najważniejszy, jako dla typowych studentów...

— Taniej niż w śródmieściu oczywiście, znacznie taniej... Więc panowie jesteście studentami?... Nie przypuszczałem, że można rok politechniki doganiać w domu, jak np. prawo?...

— Tylko teorję, — odparł krótko Kobuz, — więc szanowny ksiądz zgadza się nam wynająć ten pokoik?

— Ano, pewnie, tak... przystał ksiądz Michalak z mimowolnem westchnieniem.

— Jutro przywieziemy rzeczy...

Jakoż następnego dnia ręczny wózek popychany przez krzywonosego tragarza, tego samego, który przed tygodniem przywiózł ubogie graty księdza Michalaka, dostarczył pod dom nie bogatszą chudobę obu studentów, składającą się z kilku skrzynek i dwu składanych łóżek żelaznych.

W następnych tygodniach ksiądz Michalak miał okazję czynić sobie niejednokrotnie wyrzuty za zbyt pochopny sąd o obu młodzieńcach. W istocie bowiem trudno było wyobrazić sobie dwóch przykładniejszych lokatorów. Cisi, spokojni, całe dnie i wieczory spędzali na pilnej nauce. Okno ich bywało długo w noc oświetlone i stary ksiądz wracając wieczorem do domu spoglądał w górę machinalnie na dwie sylwetki, rysujące się ostrym profilem poprzez cienkie płótno rolety na tle jasno oświeconego wnętrza pokoju, w pozach zdradzających zaczytanie.

— Pracowite chłopaki... A tak mi się nie podobali z początku... — myślał wtedy staruszek, wielkim kluczem otwierając drzwi domu.

Gdyby kiedykolwiek jednak, zbudowany tą niezmienną pracowitością, poświęcił dłuższy czas obserwacji oświetlonego okna „górki". — uderzyłaby go może przedziwna nieruchomość obu sylwetek. Czyż można zaczytać się, zatopić w nauce do tego stopnia, by godzinami nie wykonać najlżejszego ruchu, nie zmienić układu ciała? Zdawałoby się to niezmiernie trudnem i męczącem, a przecież równie Roman Ilski jak Wacław Kobuz opanowali tę sztukę w sposób doskonały. Ciemne ich profile rysowały się poprzez szybę z nieruchomością posągów.

Lecz ksiądz Michalak nie przystawał nigdy dłużej, zadawalniając się przelotnem i pełnem uznania spojrzeniem. Był zbyt zmęczony, zbyt spragniony spoczynku po całodziennej żmudnej pracy. Wstawał o świcie, dosłownie o świcie, w godzinie perłowo mlecznego pobrzasku. Kładł najstarszą swoją sutannę, zakasywał jej poły i rękawy i szedł... — na plac zbierać z niego kamienie i gruz. Układał je na taczce służącej pani Wyrobkowej do przewożenia drzewa z drwalni i odwoził na kraj placu, gdzie układał w równe szychty. Słońce już było wysoko, urzędnicy szli sznurem do banku, a on uwijał się ciągle, niestrudzony i ufny jak św. Franciszek odnowiciel kościołów. — Juźcić, ta moja praca to kropla w morzu, — mawiał sam do siebie, — a jednak zrobić ją trzeba... O tyle co zrobię zaoszczędzę robocizny, — o jeden bodaj dzień przyśpieszę ukończenie domu...

I ożywiony tą myślą pracował dalej, nie bacząc na okrutny ból w krzyżu i mięśniach. Nakoniec wracał do domku, przebierał się, zjadał przeskromne śniadanie i ruszał na miasto kwestować. Hej była to praca cięższa, trudniejsza niż uprzątanie cegieł z własnego placu! Tam zdawało mu się, że każda chwila przybliża go ku upragnionemu celowi, — tu zdawać się mogło, że każdy krok oddala. Jakże trudno było wzruszyć serca ludzkie, uzyskać od nich najdrobniejszą bodaj ofiarę? Ile drzwi zamykało się przed nim z gniewem i niechęcią, ilu ludzi opływających w dostatki zbywało go pogardliwem słowem.

(C. d. n.)

ZABŁĄKANE RYSIĄTKO.

(z ang. W. I.)



— Dobrze idzie — mruknął Wacek z uznaniem. Za chwilę oddech zaczął się normować i serce biło coraz wyraźniej.

— Mam wrażenie, że wygrzebałem dziadówkę — uśmiechnął się Wacek z zadowoleniem, wkładając zwierzątko do czapki i układając je na ramieniu. Maszerował raźno do obozu, nie przeczuwając nawet, że całkiem podobne do jego zdobyczy, tylko daleko większe, zwierzę przebiega ponad nim po zboczu góry.

Gdy doszedł do obozu, słońce już zaszło. Jasiek dawno skończył swoje pranie i wygrzewając się przy ognisku patrzył jak Wacek, obładowany czemś niezmiernie, wdrapuje się na wysoki brzeg i podchodzi z uradowaną miną do ognia.

— Masz go? — krzyknął z podziwem.

— Kogo? Rybę? Nie — znów polowanie na nic. Ale patrz no!

— A skądżeś ty wygrzebał takiego potworka? A niechże cię! Przecież to rysi szczeniak. Żywy?

— Naturalnie. O patrz — — te, puścisz dziadówko, no! A gad, pokazuje pazury!

Rysiątko było teraz niewątpliwie żywe. Nawet trochę zanadto. Wacek chciał mu dać klapsa, ale jeszcze nie dotknął go ręką, gdy kociak palnął go solidnie uzbrojoną łapką i równocześnie wydał przeraźliwy miauk, podobny do krzyku rozjuszonego kocura.

— Jasiek, duszo — krzyczał Wacek — ratuj: nie utrzymam już ani minuty ten mały cyklon. Pazury ma jak szpilki. O, o — prędko, dawaj tu pudło z biszkoptów ze szklanem wiekiem. — Wacek tańczył na jednej nodze, potrząsając w powietrzu podrapaną ręką, a drugą usiłując utrzymać wirującą jak centerfuga czapkę z rozwścieczonym kociakiem. — Podnoś wieko, człowiecze na litość Boską! Spokój, ty podły zwierzaku. Potom cię z bagna ratował od śmierci niechybnej, żebyś mnie obdzierał ze skóry? Tak, teraz siedzisz bezpiecznie, jak w kryminale. —

Rysiątko, drąc się jak opętane, rzucało się z pazurami na szklaną ścianę, swego niezbyt obszernego kryminału.

— Oto jest nasza maskota — rzekł Wacek z dumą —, dziadówka jest całkiem ładna i wesoła, a nawet pięknie śpiewa. — Krzycz, krzycz, aż się zmęczysz i zaśniesz.

Mama rysica składa swoje uszanowanie.

Nietylko chłopcy słyszeli żałosne miauki przerażonego rysiątka. Dźwięk w górach chodzi daleko i choć bardzo cichutko doszedł do uszu wielkiej, brunatnej kocicy przyczajonej w oczekiwaniu na łów na drzewie ponad doliną strumienia Kill, przeszył ją jak prąd eektryczny i podniósł na równe nogi. Stała z wygiętym w łuk grzbietem i zjeżonemi bokobrodami, patrząc błyszczącemi ślepiami w kierunku małego światełka, co błyskało między zarośla w oddali. Z gardła wydobywał się głuchy pomruk.

Znów doleciał ją miauk. Jednym skokiem była na ziemi i bezgłośnym galopem biegła na występ skalny, skąd mogła dobrze obserwować dolinę. Wiedziała, że głos dochodzi z miejsca, w którem co nocy przebłyskuje przez drzewa migotliwa świetlna plama. Stojąc na samym skraju urwiska burczała głucho a puszysty jej ogon przecinał szybkiemi ruchami powietrze. Krzyk rysiątka dochodził raz po razu. Po jednym z nich usłyszała inny dźwięk: śmiech. Nie rozumiała tego głosu i to wzbudziło w jej sercu obawę. Ale znów doszło ją skłamrzenie rysiątka, takie żałosne, że rysica nie mogła zatrzymać się już ani chwili. Cofnęła się ostrożnie z kraju urwiska i cicho zaczęła się przekradać w dół po stoku góry, trzymając się miejsc najbardziej zacienionych. Szła wprost na widoczne w dali ognisko i gdyby ją teraz zobaczył Wacek stanęłyby mu włosy na głowie.

* * *

Chłopcy siedzieli przy ognisku, przed nimi stało pudło z biszkoptów, postawione tak, że pełne światło padało w samą twarz uwięzionego zwierzaka, który kotłował się w kącie błyszczącego pudła fucząc i miaucząc.

— Trochę zanadto wrzaskliwa dziadówka — martwił się Wacek. Czy sądzisz, że uda się nam spać z taką menażerją w namiocie? —

— Może się uspokoi, gdy go zaniesiemy w ciemniejsze miejsce. Ale w każdym razie nie widzę potrzeby wnoszenia go do namiotu. Zostawimy je na dworze. Pudło ma otwory na odpływ powietrza, położy się na nim kamień i wszystko będzie w porządku do ra... — Wac, czy nie słyszysz czegoś? —

Wacek powoli odwrócił głowę i popatrzył poza siebie w gęstą czerń lasu. Czuł takie specjalne ukłucia u nasady włosów i jakiś nieokreślony strach go obleciał.

— Czy słyszę coś? Nie... ja... my... co z Tobą Jasiek? — Teraz obaj ślepili w ciemność.

— Na psa urok, zdawało mi się jakbym coś słyszał. Śmieszna historja. Ja myślę, Wac... —

— Co?

— Przypuśćmy, że ten kociak ma matkę gdzieś tam na górze . Nie sądzisz, że to skłamrzenie ściągnie ją tu do nas? —

— Tak, myślałem o tem, o Janie — powiedział sucho Wacek.

— Nie wzięliśmy ze sobą żadnej spluwy. Jest tylko toporek — mówił Jasiek, zniżając mimowoli głos do szeptu.

— Przestań, pierzyno, szeptać — jęknął Wacek — ty swojem zachowaniem się napędziłbyś strachu dwom pułkom Napoleonów. Więc cóż, gdyby stara przeszła się do nas? Straszna mi rzecz ryś! Jasiek...

— Co? — (szeptem).

— Niech mi łeb urwie, jeśli nie słyszałem czegoś tam w górze. I tak jakbym zobaczył coś, jakby oczy. W tej minucie. To musiała być iskra z ogniska. —

— Ręka Wacka, którą położył na ramieniu Jaśka jakby trochę drżała i Jaśkowi po plecach przespacerował się chropawy mróz. Zesunął powieki i wytężał oczy w kierunku, w którym wskazywał Wacek.

— Nie, niczego tam nie widziałeś. Patrzyłem dobrze w to miejsce i nie widziałem niczego. Nerwy, Wacku — ale jak myślisz, możeby jednak puścić tego skłamrzącego djabła na wolność? — Być może, że jego matka włóczy się tu wkoło nas i jak szczeniak będzie tak dalej lamentował, sprowadzi nam ją niewątpliwie na kark. —

— Puścić? Zbziczał ten człowiek. — Gdzież ono się teraz podzieje? Pójdzie

w górę do lasu, czy może wlezie na drzewo i zdechnie z głodu, albo jakie zwierzę obłupi go ze skóry? Zostanie tu! To jest nasza maskota. Zabiorę je potem do do-o-o...; spojrzał w gęstwinę. — Duszo zacna — mówił — mnie jest tu niewygodnie. Niech mnie pies pożre, ale coś mi całkiem wyraźnie chuchło w kark. Czort, czy co? o, duchy cnych prababek. — Wstał i przyniósł topór. Potem poszedł parę kroków w kierunku gęstwiny i patrzył bacznie. Po chwili powrócił i siadł koło Jaśka, ale topór trzymał w ręce.

— Widziałeś co? —

— Nie. —

— Dziwna historja, no nie? —

— Dziwna? mojem zdaniem nawet nieco, że tak powiem, niepożądana. — Wacku. —

— No? —

— Rysica się tu włóczy. Pewny jestem tego.

— Nie wygłupiaj się. Skąd wiesz, że ono ma matkę? Może ją gdzie zabito. Mojem zdaniem imaginacja nam się burzy. Chodźmy spać. — Więc chcesz, żeby tę dziadówkę wyrzucić? —

— Weź go do namiotu, może się uciszy w ciemności. Jeśli zostawimy go tu, żeby miauczało całą noc, stara bez żadnych wątpliwości wjedzie nam na twarz. —

Wacek umieścił pudło z biszkoptów między dwoma łóżkami, które zajmowały większą część namiotu i szczeniak w prawie całkowitej ciemności natychmiast umilkł.

— Pierwszorzędnie! To była myśl! — odetchnął Wacek z ulgą. Nakryli ognisko zielonemi gałęźmi i wleźli do namiotu. Jasiek zauważył jednak, że Wacek wziął ze sobą topór. Zaśmiał się:

— Cóż to, Wacku, serdeńko, z toporem na imaginację? —

— No, nie, cóż — tylko, widzisz, nie wzięliśmy żadnej spluwy, a przecież ten szczeniak ostatecznie może mieć matkę. No nie? —

— Ten szczeniak ma matkę! Jeszcze przed brzaskiem będziemy mieli zaszczyt zawrzeć z nią bliższą znajomość. Przekonasz się, — skrzeczał Jasiek, który był prorokiem.

* * *

Jak już długo spał, nie mógł Wacek zgadnąć, gdy zbudził się z mroźnem uczuciem, że ktoś z ciemności wlepia w niego oczy. Ani drgnął, patrzył tylko, aż mu oczy wyłaziły z orbit. Nie widział nic, ale strach nie opuszczał go. Coś, czy ktoś był koło namiotu. To było niewątpliwe. Wysunął powolutku rękę z pod koca i chwycił topór. Podniósł go nieco w górę, przygotowując się do ciosu. Równocześnie usiadł i patrzył w wejście do namiotu.

Minęło pięć... dziesięć... piętnaście przeraźliwych sekund. Tak, coś jak duch podłazi do namiotu coraz bliżej. Z ogniska na dworze pozostał już tylko żarzący się popiół. Za jeden promień światła dałby Wacek teraz bardzo dużo. ...Nagle to coś znalazło się w polu widzenia i przez jedną białą ze strachu chwilę, widział Wacek dwoje płonących oczu, co patrzyły na niego od odrzwi namiotu. Strach wlał mu w mięśnie oliwę.

A potem wszystko odbyło się błyskawicznie.

Najpierw rysiątko w pudle z biszkoptów zasklamrzało żałosnym, wzywającym ratunku miaukaniem. Równocześnie błyszczące oczy przeleciały przez namiot, jak świetliste pociski i stara rysica z rykiem wylądowała między łóżkami.

Wacek wrzasnął wielkim głosem i zamachnął się toporem, zrywając się równocześnie na równe nogi. Topór przebił dach namiotu i szarpnięty silnie zmylił drogę powrotną i palnął całą siłą w maszt namiotu. Wacek stracił równowagę, chwycił się poderwanego masztu i wszystko z hukiem runęło, owijając całą czwórkę płótnem namiotu i pościelą łóżek. Cała masa kotłowała z piskiem i krzykiem niezmiernym, szarpiąc powalonym namiotem. Liny pękały i kołki wyłaziły z ziemi. Na wpół zbudzony Jasiek i przerażony Wacek walczyli z rysicą na pazury i zęby. — Tłumok, owijający ludzi i zwierzęta, podskakiwał konwulsyjnie po pagórku, a znalazłszy się po chwili na pochyłości, zaczął się staczać. Wrzaski wzmogły się jeszcze bardziej, gruchotane łóżka trzeszczały — i nagle wszystko z wielkim pluskiem wpadło do płytkiego ale bystrego potoka.

Wacek, znalazłszy się w zimnej wodzie odrazu odzyskał przytomność. — Wiedział, że, jeśli nie wyplatają się natychmiast z tego bałaganu, utoną wszyscy we czwórkę. Rzucił się na płótno z wściekłą pasją i szczęściem natrafił na dziurę, zrobioną toporem. Wydarł się. Stał po pas w wodzie. Pod nim kotłowała się masa z namiotu i pozostałych w nim żywych.

— Rysica czy Jasiek? — pomyślał Wacek. Ale w tej chwili wynurzył się koło niego towarzysz, plując, parskając i otrząsając się.

— Co to, żarty, czy co? co się właściwie dzieje, u pioruna? Cyklon nas porwał? —

— Ot tam widzisz, co się stało, — mówił Wacek, pokazując na pagórek.

W świetle pełzających po żarze ogników rysowała się sylwetka groźnej rysicy. W pysku trzymała szczenię. Stała przez chwilę patrząc gorzejącemi ślepiami na chłopców — potem odwróciła się z głuchym pomrukiem i znikła w zaroślach.

— Mówiłem ci, lekkomyślny Wacku, że kociak ma matkę — powiedział z wyrzutem Jasiek, który był prorokiem.

KONIEC.







rys. Domiszewski.

Za najdowcipniejszy wierszyk nadesłany na temat powyższej ilustracji do dnia 20-go lutego przeznaczamy w nagrodę książkę „Antek Cwaniak“, lub „W gromadzie zuchów“.



NA PARYSKIM BRUKU

Paryż, w styczniu.

Pierwsza rzecz, która rzuciła mi się w oczy w Paryżu, to fakt, że auta szanują piechura. Nieprzyzwyczajony do niesłychanego ruchu, jaki tutaj panuje, przybysz nabiera wnet odwagi i wlot chwyta zasady sztuki przechodzenia przez ulice. A więc po pierwsze: przechodź przez ulicę tylko w miejscach oznaczonych dwoma rzędami płaskich, lśniących główek gwoździ. W obrębie tych rzędów cała wina za przejechanie piechura spada wyłącznie na szofera, co go skłania do uwagi. Po drugie: w miejscach wielkiego ruchu, nawet w obrębie gwoździ, nie poważ się przechodzić, dopóki czarodziejska, biała pałeczka policjanta nie wstrzyma lawiny aut. Ruch zaś jest taki, że na niektórych placach służbę musi pełnić 6-ciu, 8-miu i więcej nawet policjantów! Jeden z nich, siedzący na koniu, znajduje się w punkcie centralnym ruchu. Na jego sygnał, dany gwizdkiem, jeden z jego kolegów, stojący gdzieś na skraju chodnika, przyciśnięciem tastra gasi i zapala cały system sygnałów świetlnych i wprawia w ruch dzwonki ostrzegawcze; w tym momencie policjanci, stojący u wylotu każdej z ulic, wznoszą rękę do góry, lub przynaglają jadące auta poziomym ruchem białej pałeczki. Możecie sobie wyobrazić, jaki jest gwałt na takim placu: dzwonki alarmowe, gwizdki, trąbki niesłychanej ilości aut, ciężki turkot ogromnych autobusów, gwar tłumu i ostry krzyk sprzedawców gazet! Można ogłuchnąć. Aby przybysza tem skuteczniej oszołomić, z gwarem i ruchem sprzysięgają się jeszcze jaskrawe światła reklam i jasne łuny bijące od rzęsiście oświetlonych witryn sklepowych.

W okresie świątecznym było jeszcze gorzej, bulwary bowiem zalały setki, tamujących ruch na chodnikach, kramów i stolików, których właściciele głośnym krzykiem starali się zwrócić uwagę przechodniów na swój towar. Towary te przedstawiały doskonałą rozmaitość: tu szelki gumowe, tam słodycze, tu jedwabie, tam znów przedmioty sztuki; cudowny płyn do wywabiania plam sąsiadował z prowizoryczną fabryczką, produkującą na oczach widzów cukierki; wózek z daktylami i mandarynkami opierał się o budę, w której strzelało się z wiatrówek do porcelanowych fajek, marokańczyk w ognistym fezie zachwalał swe tandetne dywaniki obok obfitej w kształty damy, sprzedającej pseudo-chińską porcelanę. Ponad całym tłumem pospolitych przekupniów królowało na wysokich podniesieniach dwóch wybrańców losu, skupiających wkoło siebie zazdrość wzbudzające tłumy publiczności: jeden z nich, to mag, ubrany w dostojną szatę usianą gwiazdami i chroniący swoje spiczaste nakrycie głowy pod ogromnym parasolem; drugi — to atleta, śmiało wystawiający swe nagie ciało na mrzący, zimny deszcz i grzmiącym głosem wtajemniczający pilnych słuchaczy w arkana swego zawodu.

Dziś pstra i krzykliwa gawiedź kramów znikła z ulic, odsłaniając szary masyw kilkopiętrowych kamienic. Nie są to domy mieszkalne. W samem centrum Paryża są tylko biura, sklepy, magazyny, kawiarnie, restauracje i znów biura i biura. Ruch panuje też tutaj ledwie do 7-ej godziny. Później śródmieście pustoszeje, wymiera, staje się niepodobne do siebie. Wieczorem ruch przenosi się na Montmart — słynna to na cały świat dzielnica, pełna kin, teatrów, kawiarenek: jednem słowem wszelkiego rodzaju lokali rozrywkowych.

Uderzają w oczy przedewszystkiem kina: są ogromne, wspaniałe, luksusowe. Taki Gaumont Palace mieści jak nic 6 tysięcy widzów. Nie ustępuje mu w wielkości i luksusie ani — szczyt ostatniej techniki — Pigalle, ani nowopostawiony Rex, ani Paramont, który do niedawna uważany był za największe kino w Europie, a teraz musi dzielić sławę z innemi. Wszystkie te kina dają oprócz filmu cały program rozmaitości: balet, jazzband i różne sztuki. Niektóre z tych kin dają program od południa przez całą noc aż do 4-tej, czy 6-tej rano! Są programy, które nie schodzą z afisza i pół roku. Są też kina, które wyświetlają jedynie aktualności — kronikę kinową. — Jak widać z tego na brak urozmaicenia skarżyć się w Paryżu nie można.

Życie w Paryżu przybiera niesłychaną rozmaitość form: od ogromnych bogactw i wspaniałego luksusu, aż po skrajną nędzę. Jest awanturniczem, pełnem wrażeń, zmian i przyjemności, albo jest szarem bytowaniem, pozbawionem najmniejszego urozmaicenia. Ale na ulicy nie widzi się ani jednej ani drugiej skrajności — chyba przypadkiem miniemy skromnie wyglądający dom, o którym nam powiedzą, że mieści w sobie restaurację, gdzie skromny obiad kosztuje 400 franków (przeszło 120 zł.); lub spotkamy w jakimś pasażu nędzarza, odzianego w strzępy, wyciągającego drżącą i skostniałą dłoń w niemej prośbie o jałmużnę.

Istotę miasta tworzą jego przeciętni mieszkańcy, którzy nadają mu jego szatę zewnętrzną. Są oni uprzejmi, rozmowni i weseli. Byle co wystarczy im, aby się śmiać i bawić. Są kpiarze, próżni, niezdyscyplinowani, ale za to bardzo solidarni. Opowiadano mi n. p. o skautach, że drużynowy, umiejący utrzymać karność w swoim obozie, jest wprost unikatem. Chłopcy kpią sobie z niego w żywe oczy, jak każdy Francuz kpi sobie z wszelkiej władzy świeckiej czy duchownej. — Niechno się jednak pokaże w pobliżu obca drużyna, natychmiast w obozie zapanowywuje wzorowy porządek, a każde życzenie wodza zostaje spełnione, jak najsurowszy rozkaz.

Francuzi lubią upajać się też wielkiemi słowami. Przy całej swej praktyczności i skrzętności gotowi są w każdej chwili dać się zaprząc w służbę jakiejś idei, ale musi to być idea wzniosła, szczytna i upajająca.

Dużo o nim można powiedzieć rzeczy złych i dobrych — jedną jeszcze jego cechą, która bije wprost w oczy przybysza z Polski, to fakt, że Francuz lubi czytać. Ilość dzienników jest ogromna: kilka z nich ma powyżej miljona egzemplarzy nakładu! A możliwe to jest tylko dzięki temu, że każdy tu kupuje sobie gazetę: robotnik, stenotypistka, służąca, subjekt — nie mówiąc już oczywiście o inteligencji — każdy z nich udając się do pracy, lub wracając z niej w Metro trzyma swoją gazetę w ręku i studjuje ją zawzięcie. Młodzież także czyta. Istnieją dziesiątki, dziesiątki pism dla młodzieży starszej i młodszej, prowadzone zresztą w przeważnej mierze nie dla idei, lecz dla prostego interesu. Są na nasz gust naogół marne, bardzo nawet marne. Ale mają powodzenie. Taki n. p. tygodnik „Benjamin" formatu dużej, codziennej gazety, wyróżniający się zresztą dodatnio z pośród innych, bije 100 tysięcy egzemplarzy! U nas nakład 10 tysięcy, to już nakład ogromny. A przecież Francja ma tylko o 6 miljonów więcej mieszkańców niż Polska!

Prasa skautowa też oczywiście lepiej prosperuje niż nasza. Pisma Skautów francuskich, których jest 40 tys., biją razem 20 tysięcy egz. „Eclaireurs de France" ma 9 tys. członków, a pisma ich mają 3.500 prenumeratorów. Mój Boże! nie mogę się powstrzymać od uwagi, że gdyby nasi harcerze czytali w tym samym stosunku jakżeby pięknie wyglądało „Na Tropie".

Jeśli już o skautach mowa, to przyznać trzeba, że znajdują się oni w stanie silnego rozwoju. Szczególnie organizacja katolicka. Wszystkie prawie zbiórki odbywają się tu w niedziele i czwartki, t. z. w dnie wolne od nauki. W szkołach bowiem francuskich nauka trwa cały dzień: rano i po południu, za to jest tylko 5 dni nauki w tygodniu. Że są oni tu popularni, świadczy fakt, że w jednej z operetek występuje tu w pewnym momencie „drużyna skautów", która tańczy i śpiewa. Ich szef jednak, stary i okropnie gruby,

HARCERZ SAM PIERZE.

Wielkie pranie! — powszechnie znana tragedja domowa. Tragedja, która może prawie niespostrzeżenie minąć, jeśli się tylko zgrabnie zabrać do rzeczy.

Naprzód przegląd całego mieszkania, czy nie został gdzie jaki drobiazg, nadający się do wyprania: dokładanie już w ciągu prania znacznie przedłuża całe ceremonję.

Następnie wydzielenie z „brudów" rzeczy jedwabnych i wełnianych: te musi się prać osobno.

Całą pozostałą bieliznę dzieli się według kolorów: osobno rzeczy białe (do których można też zaliczyć rzeczy jasnokolorowe, niefarbujące), osobno „kolory". Bieliznę białą dobrze jest jeszcze podzielić na mniej lub więcej brudną.

Do tych czynności przygotowawczych należy się zabrać wieczorem, gdyż nocą bielizna ma moknąć: wkłada się ją mianowicie do letniej, „zmiękczonej" wody, by brud odmiękł. Ten zabieg oszczędza połowę trudu przy dalszem praniu.

Wodę „zmiękcza" się, dodając do niej trochę rozgotowanego mydła, albo garść sody. Ilość sody zależy od twardości wody. Czem woda twardsza, tem mniej mydło się w niej pieni, z trudem się rozpuszcza, ba raczej ścina się, tworząc zawiesinę, którą potem bardzo trudno z bielizny usunąć. Istnieją różne proszki reklamowane jako dodatki do wody, ale trzeba z niemi ostrożnie, bo przeważnie niszczą bieliznę. Moczy się tylko bieliznę białą: osobno czyściejszą, osobno brudniejszą.

Nazajutrz rano właściwe pranie: każdy kawałek bielizny przepłukujemy silnie w wodzie, w której się moczył, a wycisnąwszy go następnie wkładamy do balji z letnią wodą (letnią!) i pierzemy.

Przy pierwszem praniu pierze się każdy kawałek bardzo starannie, nie oszczędzając mydła. Tarcie kawałków w dłoniach trwa długo i męczy, używa się więc zwykle pralki (rys. 1.) o sfałdowanej (nie ostrej!) powierzchni. Niektórzy zachwalają do tego celu „dzwon", podwójny lub pojedyńczy (rys. 2.). Ciśnie się nim bieliznę płasko poukładaną na dnie głębokiego naczynia (rys. 3.), zanurzoną w „mydlinach". Łatwiej to, wygodniej, ale mniej dokładnie.

Każdy przeprany kawałek dokładnie przepłukuje się w tej samej wodzie, następnie **pierze się po raz drugi:** teraz już można w dobrze ciepłej wodzie. Tym razem zwraca się uwagę na plamy i części najbardziej brukane przy używaniu: kołnierzyk, mankiety przy koszuli i t. p.

Bieliznę dwa razy przepraną i wypłukaną w czystej wodzie **gotuje się.** Na dnie naczynia użytego w tym celu powinna być wkładka zapobiegająca przypaleniu się bielizny (rys. 4.). Przed włożeniem do naczynia należy każdy kawałek obejrzeć i natrzeć mydłem miejsca jeszcze niezupełnie czyste. Bieliznę układa się poziomo, najwyżej do ¾ wysokości naczynia, bo inaczej przy gotowaniu się „wykipi". Teraz zalewa się zawartość naczynia zimną wodą, wsypuje się cienko pokrajanego mydła i czeka się. Po kilkakrotnem zawrzeniu odwraca się bieliznę drewnianą kopystką: przyczem to, co była na dnie, wyjeżdża do góry i odwrotnie. Dobrze wygotowaną bieliznę odstawia się, aby wystygła, potem przepiera się w tej samej wodzie i następnie dokładnie na czysto płucze się w czystej wodzie.

Ot i gotowe.

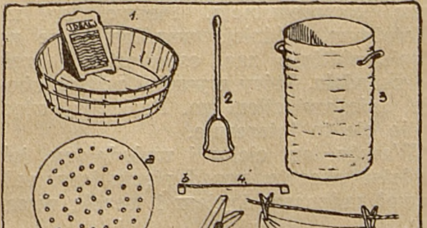
Teraz wyjątki od tych reguł.

Bieliznę zżółkłą ze starości farbuje się. W sklepie od wszystkiego dostanie się „farbki do bielizny" w proszku lub cieczy. Najpierw rozciera się ją na dłoni, potem bardzo dokładnie rozprowadza w wodzie, aż woda przybierze kolor lekko niebieski. Teraz przepłukuje się w tem bieliznę.

Zanadto zwiotczałą po dokładnem wypraniu bieliznę krochmali się, nadając jej w ten sposób elegancką sztywność i chroniąc przed zbyt szybkiem zbrudzeniem. Nie krochmali się serwetek, chustek, ręczników (bo usztywnione drapałyby) ani też bielizny barchanowej czy flanelowej. Bieliznę pościelową i obrusy krochmali się silniej, bieliznę osobistą słabiej.

Z wody wykręca się tkaniny wskos a nie wzdłuż, bo mogłyby popękać.

Przed powieszeniem bielizny do suszenia strzepuje się dobrze każdą sztukę, by była możliwie najgładsza. Wiesza się bieliznę na dokładnie przedtem wytarty sznur, najlepiej przy pomocy specjalnych łapek (rys. 5.). Jeśli wiesza się bieliznę na podwórzu, trzeba uważać, by na kolorowe kawałki nie padało słońce, bo wyblakną.



Na obozie pierze się pierwszorzędnie w rzece. Z gotowaniem jest czasem trudniej, więc zastępuje się je „bieleniem": wiesza się białą (i tylko białą) bieliznę mokrą na silnem słońcu. Można ją powiesić, a jeszcze lepiej rozłożyć na czystym piasku lub czystej trawie. Jak wyschnie zlewa się ją znów wodą, a po kilkakrotnej takiej operacji znikają najupartsze plamy. Wtedy płucze się bieliznę i dalej postępuje jak przy praniu z gotowaniem.

„Kolory" pierze się tyle razy, aż za którymś woda jest czysta, a raczej zabarwiona tylko kolorem kawałka pranego. Ponieważ prawie wszystkie kolorowe rzeczy farbują, należy ciemniejsze prać osobno i osobno jaśniejsze. Kolorów się nie krochmali, tylko odrazu po dokładnem wypłukaniu — wiesza.

Rzeczy wełniane pierze się w wodzie zupełnie letniej: tyle tylko, żeby ręce nie marzły. W ciepłej wodzie wełna zbiega się. Należy zwracać uwagę przy zmienianiu wody w trakcie prania, by utrzymać równą temperaturę. Pozatem nie wykręca się tych rzeczy, lecz wiesza ociekające wodą. Reszta tak samo jak przy kolorach.

Jeśli się chce, by ciemne wełniane rzeczy zachowały swój świeży kolor, pierze się je w esencji wygotowanej z kwilai. Jasne wełniane można prać w korzeniu mydlanym. Jedno i drugie dostanie w sklepiku od wszystkiego, w drogerji i wogóle gdziebądź.

Rzeczy wełnianych zbyt farbujących, lub trudnych do prasowania, np. ubrań męskich nie pierze się.

Kawałki trykotowe pierze się jak wełniane, tylko że się ich nie wiesza, lecz wyciśnięte układa poziomo, np. na stole, nadając im pożądane wymiary, żeby się nie „powyciągały".

Jedwabie pierze się „od ręki", nie mocząc długo w wodzie letniej. Nie pociera się ich mydłem, tylko pierze w mydle rozgotowanem, lub w specjalnie w tym celu fabrykowanych płatkach mydlanych. (Zwracać uwagę na wyroby krajowe.) Po wypłukaniu z mydła dobrze jest jedwab przepłukać w wodzie z łyżką octu, a potem jeszcze raz w czystej wodzie. Szczególnie ważne jest to dla jedwabi białych, które inaczej żółknieją.

Żadnych wypranych rzeczy nie suszy się do końca, lecz jeszcze lekko wilgotne zbiera do maglowania i prasowania.

Ale o tem następnym razem.

---

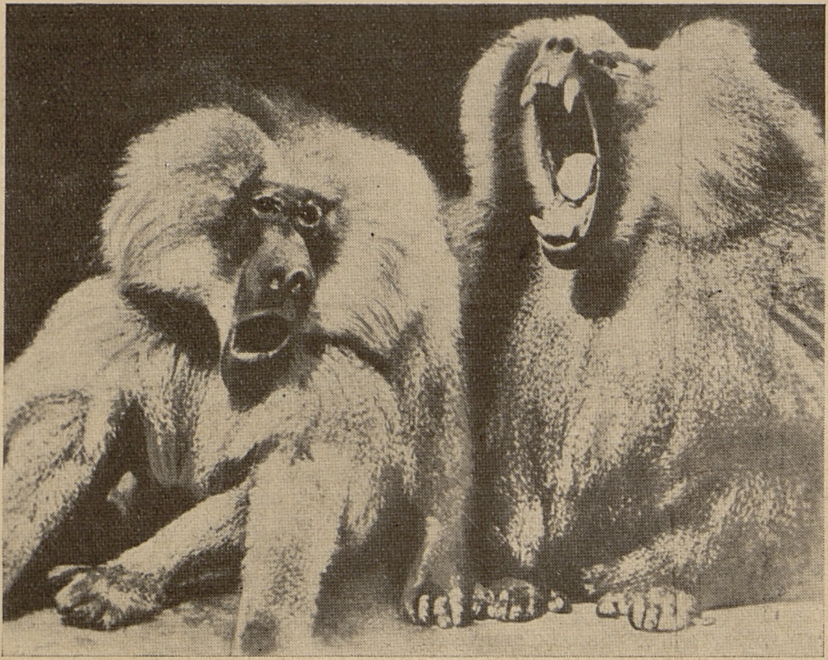
zachowuje się bardzo nieładnie w ostatniej scenie, — ale to tylko w operetce!

O czem-że jeszcze pisać? Tyle nasuwa się tematów, że trudno wybrać: chciałoby się jeszcze opowiedzieć o tem, jak to świetnie podróżować jest w Paryżu „metrem": koleją elektryczną, która mknie z wielką szybkością podziemnemi tunelami, przecinającemi Paryż we wszystkich możliwych kierunkach; o tem, jak to chłopcy puszczają piękne modele żaglówek na basenach w publicznych parkach, jak to księża - prefekci bawią się w parku z uczniami podczas pauz; jak to interesująco jest w dzielnicy, otaczającej uniwersytet paryski, gdzie znajdują się małe restauracyjki wszystkich możliwych narodowości; chciałoby się opisać wszystkie cuda architektoniczne Paryża, datujące się od pierwszych wieków, aż po budowle najbardziej nowoczesne — cóż, kiedy brak na to miejsca.

Najlepiej byłoby wziąć was wszystkich, „Notropowi" czytelnicy, na spacer po bulwarach Paryża; pokazać Wam to ogromne miasto ze szczytu słynnej, żelaznej wieży Eifla, połyskującej wieczorem tysiącem kolorowych lampek reklamy „Citroena"; zaprowadzić Was na Place de la Concorde, gdzie w blasku reflektorów drżą, migocą, błyszczą fantastyczne kaskady fontan; pójść z Wami nad brzegi Sekwanny, poprzecinanej kilkoma mostami — aż do stóp przepięknej, majestatycznej katedry „Notre Dame", na której dachu drzemią zaklęte w kamień ręką średniowiecznego artysty dziwaczne chimery... **M. K.**

FELIKS DANGEL.

PRZYGODA GWEEN.



Ognisko wzniecone z pędów ściętej akacji, skwierczało i tliło się raczej niż płonęło. Cienkie smugi dymu wznosiły się pionowo w granatowe niebo, na którem płonęły wielkie gwiazdy Krzyża Południa. Księżyc nie wszedł jeszcze, co pozwalało anemicznemu ognisku stać się jedynym promieniodawcą w kamiennym wąwozie, zagubionym w stepach Afryki Wschodniej.

Żółte plamy oświelały przeciwległą ścianę wąwozu i kilka fantastycznie powykręcanych drzewin.

Za temi drzewami zaś ciągnął się step. Step wielki od oceanu, aż po Wielkie Jeziora. Nie widać go teraz, ale słychać raczej... Nocą step afrykański dźwięczy miljonami solowych koncertów świerszczów... Tak jak u nas na równinach mazowieckich, w dalekiej północnej Polsce. Koncert ten przeniósł moją myśl daleko hen! za morze Śródziemne, za słoneczną Italję, ku swoim...

Tak cudnie grały świerszcze...

Z pół snu, pół drzemki, obudziło mnie trzaśnięcie dużego pudła podróżnego z starego brezentu.

Z mroku, który zamykał się poza kręgiem ogniska wyłoniła się biała postać człowieka.

— Zapalisz?

— Owszem.

De Merwal podał mi nowo wydobyte pudełko papierosów, sam zaś, patykiem dobył z ogniska żarzący się węgielek i zapalił.

— Wąwóz ten — mówił po chwili — przypomina mi dziwną przygodę, którą przeżyłem pięć lat temu w tem miejscu. Byłem tu wtedy z ekspedycją naukową, którą organizowało zoologiczne muzeum w Bernie.

Nie byłem jedynym europejczykiem w tej ekspedycji. Towarzyszył mi, wydelegowany z ramienia komisji muzealnej młody docent jednego ze szwajcarskich muzeum, niejaki dr. Spalding. Był to znany ci zapewnie typ młodego naukowca teoretyka, jacy na zachodzie Europy pętają się po korytarzach wszystkich uniwersytetów. Miał rogowe okulary, kilka blizn na wygolonej twarzy po odbytych pojedynkach, oraz wysokie łysiejące czoło. Przy ekspedycji pętał się, robił jakieś notatv, które mu miały służyć do napisania monografji o małpach i chorował jak każdy z początkujących podróżników, na manję myśliwstwa. Strzelał jednak źle. Był nerwowym, gorąco południowych polowań, powodowało u niego drżenie rąk, był niecierpliwym, a złość swoją z powodu niepowodzeń zwykł wylewać na karkach pagazich (tragarze murzyńscy — przyp. autora). Aż dnia któregoś zamknął swą karjerę myśliwego ostateczną kompromitacją. Pierwej był mi obojętnym, później, wspólne życie na stepie zbliżyło nas, ostatecznie jednak po skandalu, który wywołał w tym obozie, znienawidziłem go. Posłuchaj więc, o ile cię to interesuje.

Wąwóz ten, cichy i wyludniony, jak widzisz obecnie, przed pięciu laty, pulsował radosnem życiem i wesołą wrzawą.

Zamieszkiwały go całe społeczeństwa małpo-grzywiastych pawjanów. Coraz rzadziej spotykany gatunek tej małpy w Wschodniej Afryce i w Kongo, dziwnie sobie ten właśnie zabytek ziemi upodobał. W szczelinach skał, na sąsiednich akacjach i chlebowcach siadywały gromadami pawiany, młode zaś małpięta i straże ich wystawione nad rzeczką zapuszczały się aż na step Ubangi. Było ich tu, śmiało można powiedzieć, tysiące. Przed laty kilkunastu idąc tędy do Victorja Nyassa widziałem ten zakątek, który nazwałem małpią republiką. Pawiany, agresywne na widok murzyna, zachowywały się dość dziwnie na widok białego i ubranego człowieka...

Europejczyk, jak i to wszystko co robił i co posiadał, wprawiało małpy w najwyższe zainteresowanie i wywoływało coś w rodzaju zachwytu czy entuzjazmu. Namiot, filtr do wody, pudła, a nawet czynności toaletowe (golenie i t. p.) zgromadzało na urwiskach skał tłumy małp, które każdy ruch i grymas białego przyjmowały, głośnym rechotem i wrzaskami radości. — Stwarzało to rodzaj teatru, w którym aktorem byłem ja, a wrzaskliwą galerją — pawiany. Wesoło tu było i gwarno. Matki z małemi siadały dla bezpieczeństwa na gałęziach lub najwyższych skałach, dorosłe samce spacerowały poważnie po wąwozie, zaś na płaskiej skale, wyniesionej ponad inne, zasiadało coś w rodzaju rady rządzącej, czy sejmu, w skład którego wchodziły najstarsze pawjany.

Tak było tutaj do czasu dopóki nie przybył w te strony dr. Spalding.

Pewnego dnia wybraliśmy się obaj z obozu na polowanie. — Po godzinnym marszu przez step, rozeszliśmy się. Ja dla dokonania pomiarów wyżyny, on za tropem antylopy kudu.

Cały dzień zeszedł mi na ciężkiej pracy pod prostopadłemi promieniami słońca, z chwilą zaś zachodu kazałem zbierać manatki i ruszyłem ku wąwozowi, ku obozowisku...

I jakież było moje zdziwienie, gdy w mroku już zupełnym do namiotów wracając, posłyszałem zdala miarowy łoskot strzałów.

Ktoś palił z broni szybko i ustawicznie. Nie rozumiałem, co się stało. Ustawiczna kanonada nie mogła być odgłosami polowania, o napadach, od czasu Stanleya, i chwili założenia szos, nie było tu słychać.

Zdążałem szybko do obozu, a odgłosy strzałów dochodziły mnie coraz to wyraźniej. Mijając rzadki gaj akacjowy posłyszałem z oddali niesłychany jakiś hałas, który towarzyszył wystrzałom. Był to zbiorowy wrzask i odgłosy jak gdyby jakiejś wspólnej nerwowej narady. — Gdym podszedł bliżej, zrozumiałem, że to krzyczą nasi sąsiedzi, pawjany. Zbiegłem do wąwozu i cóż zobaczyłem. —

Przed namiotem siedział na polowem krzesełku dr. Spalding z karabinem w ręku. Co chwila podnosił broń do oka i strzelał do tłumnie zebranych na skałach małp. Gdy wystrzelił ostatnią łuskę, murzyn podawał mu inny nabity karabin...

U stóp skał, tarzało się w bólach przedśmiertnych kilka ciężko zranionych pawianów.

Stanąłem jak wryty.

Przypuszczałem, że Spalding zwarjował.

— Co pan tu robi doktorze?

Ten odwrócił ku mnie bezczelnie uśmiechniętą twarz i zawołał:

— O! wrócił pan już. Czekałem na pana, nudziło mi się, więc znalazłem sobie zabawkę.

— Jaką?!

— Strzelam do tych małpiszonów

De Merwal zapalił nowego papierosa, zaciągnął się dymem i poprawił na krześle.

— Wiesz, nie wiem skąd mi się tyle siły wtedy wzięło. Wiem tylko, że za chwilę trzymałem w ręku za lufę nowy karabin z potrzaskanem drzewcem, a Spalding leżał razem z krzesełkiem o jakie dziesięć kroków. Poszedłem pod skały popatrzeć na masakrę niedowarzonego doktorka. (d. n.)



Aeroklub Harcerski.

W jednym z poprzednich numerów podana była ankieta, na którą wpłynęło w terminie 8 odpowiedzi. Jest to stanowczo zbyt mało, by można było zacząć starania u władz o pozwolenie na otwarcie Harcerskiego Aeroklubu Szybowcowego. Wobec tego „Na Tropie“ ponownie zwraca się do ogółu harcerzy z propozycją wyrażenia swego zdania w sprawie założenia H. A. S.-u. Wystarczy odpowiedzieć na 2 pytania:

1) Czy dużo znalazłoby się ochotników do H. A. S. w mojem środowisku, gdyby warunki były następujące: 16 lat skończonych, pozwolenie rodziców, zajęcia 2 godz. tygodniowo.

2) Czy sam wykonałem już jakikolwiek model szybowca.

Odpowiedzi i ewentualne pytania, będą dla Redakcji miarą zainteresowania się tą sprawą — dopiero wtenczas można będzie poruszyć niebo i ziemię i stworzyć H. A. S.

Tymczasem zwracamy się do Druhów z Wodzisławia, prosząc, by wyjaśnili wątpliwości jednego z drużynowych, który pisze:

„Sprawa poruszona przez Szan. Redakcję jest niezmiernie interesująca, tylko wydaje mi się nieżyciową, a może ja nie rozumiem pewnych spraw i dlatego tak sądzę. Nie rozumiem, coby taki aeroklub w naszych harcerskich zastępach robił? Jaki konkretny program możemy wykonać? Co wogóle poza robieniem modeli mogliby robić moi harcerze, gdybym zgłosił jeden zastęp? Skąd wziąć instruktorów do pracy, o której ja, jako drużynowy, nie mam zielonego pojęcia? Napewno dużo harcerzy zgłosiłoby się do tego klubu, gdyby wiedzieli, co tam będą robić i czy możliwem jest jakakolwiek rzetelna praca, jeśli mieszkają w jakiejś małej mieścinie, w której nikt nic nie wie wogóle o szybowcach.“

Nasuwają się zatem następujące kwestje: jaki jest konkretny plan pracy dla zastępu szybowcowego? Jaki byłby stosunek takiego zastępu do H. A. S. i czy możliwem jest tworzenie takich zastępów w małych środowiskach, oraz skąd można otrzymać potrzebne podręczniki i wskazówki do pracy.

REDAKTOR MA GŁOS.

Serdecznie dziękujemy za przesłane Redakcji życzenia świąteczne i ze swej strony życzymy jak najpomyślniejszego Nowego Roku: naszym korespondentom zagranicznym, St. Vörösvarey'emu (Węgry) i Tony Noessenowi (Luksemburg), dalej Związkowi Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji, a w szczególności jego Komendantowi Głównemu, druhowi Szmei; druhowi F. Dalowi z Dąbrowy (Czechosłowacja); dhowi Komendantowi A. Szczęścikiewiczowi (Lwów); dhowi Wnękowi i wszystkim Harcerzom - Podchorążakom z Zambrowa; 19-ej D. H. im. L. Narbutta (Warszawa); 35-ej D. H. im. J. Bema, jej Kołu Przyjaciół i Gromadzie Starszoharcerskiej w Stanisławowie; Drużynie z Niwki; I-ej D. H. im. T. Kościuszki (Roździeń-Szopienice); dhowi Z. Spile z Bielska, kochanej Dziewiątce Krakowskiej i innym.

Druhnom i Druhom, którzy nadesłali swe życzenia do członków Redakcji imiennie, odpowiedzą oni prywatnie.

A teraz parę spóźnionych odpowiedzi — spóźnionych, bo wszelka poczta wędruje za Redaktorem z Katowic do Paryża i stamtąd dopiero wraca. Ale to się już kończy!

Młodzieży Harcerskiej w Morawskiej Ostrawie — dziękujemy serdecznie za zaproszenie. Nie mogliśmy z niego korzystać, więc chociaż w tej drodze pragniemy wyrazić Wam, jak bardzo interesują nas Wasze losy, z jaką radością śledzimy Wasz rozwój, Waszą pracę.

Drużynie w Zakrzówku — postaramy się odpowiedzieć w przyszłym numerze.

„Mickiewicz — Zbaszyń“ — może przesyłać zwięzłe notatki z życia swej drużyny, które zawsze i chętnie będziemy umieszczać w dziale „Na harcerskim szlaku“.

Dh. Załuski i dr. Schienbein otrzymają — z powodu mego wyjazdu — schemat Vörösvary'ego dopiero w pierwszych dniach lutego.

Wszyscy to przeczytajcie: bo dotyczy to wszystkich, a szczególnie tych, którzy mają do nas jakieś pretensje. Przykro nam bardzo, gdy dowiadujemy się, że ktoś, mimo zapłacenia, **nie otrzymuje pisma.** Pismo wychodzi regularnie i wysyłane jest wszystkim, którzy uiszczą prenumeratę. Winę więc ponosi albo poczta, albo prenumerator. Na pocztę jest łatwa i tania rada. Pismo wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca, jeśli więc 15-go lub 25-go ktoś pisma nie otrzyma, wysyła reklamację do administracji, a reklamacja nic nie kosztuje. Częściej jednak winien jest prenumerator sam, bo albo nie odnowi na czas prenumeraty i administracja wstrzymuje wysyłkę pisma, albo też chce, by na drugi dzień po wysłaniu zamówienia już pismo otrzymał, albo wreszcie niewyraźnie poda adres i pismo wraca. Pamiętać należy, że administracja ma dużo roboty i otrzymawszy zamówienie tuż przed wysyłką pisma nie może go już uwzględnić, powoduje to bowiem duże komplikacje pocztowe.

Przegląd wydarzeń sportowych.

— W P. U. W. F. odbyło się walne zebranie Ligi, które po dwudniowych obradach uchwaliło zasadniczą zmianę systemu rozgrywek, mianowicie: kluby zostały podzielone na dwie grupy — Wschód i Zachód, każda grupa rozgrywa między sobą grupowe mistrzostwo a następnie najlepsze kluby walczą o zaszczytny tytuł Mistrza Polski, tak jak ostatnie — o spadek z Ligi. Rok przyszły będzie rokiem próby. W dalszym ciągu swych obrad, ponowiła Liga uchwałę o przestrzeganiu zasad amatorstwa, odrzucając wniosek o zawodowstwie.

— W Cieszynie na mistrzostwach Polski w jeździe figurowej parami pierwsze miejsce zajęła para: Bilorówna — kpt. Kowalski.

— W Bystrzycy, z racji otwarcia polskiej skoczni, odbyły się narciarskie zawody. Na 18 km. pierwszy przybył Legierski (SN. Katowice), w skokach również ten sam zawodnik zajął pierwsze miejsce.

— Na boiskach hokejowych niezbyt nam się wiodło: przegraliśmy oba spotkania z Czechosłowacją w Pradze — jeden mecz w stosunku 6:1, drugi — 2:0. Można się pocieszyć tem, że nie wysyłaliśmy reprentacji, lecz tylko team kombinowany.

— Dnia 28 i 29 bm. nasi narciarze wezmą udział w mistrzostwach Jugosławji. Wyjadą tam: Bronek Czech, Marusarze Stanisław i Andrzej, Berych Wł. oraz Łuszczyk. Zawody obejmą — bieg 18 km. oraz skoki. Na przyszły rok projektowany jest mecz słowiański, obejmujący wszystkie narody słowiańskie.

— Polski Związek Hokeja na Lodzie zdecydował się wziąć udział w mistrzostwach świata, które się odbędą w Pradze, wobec czego postanowił tuż po mistrzostwach Polski urządzić obóz treningowy dla najlepszych zawodników w Krynicy i dopiero z nich wyłonić prawdziwą reprezentację. Bardzo możliwe, że przedtem nasza drużyna reprezentacyjna będzie miała możność zagrania z udającemi się na te zawody zespołami innych państw, najprawdopodobniej Niemcami, Szwedami i drużyną amerykańską.

— Tradycyjne zawody o memorjał ś. p. por. Wóycickiego, składające się z biegu 18 km., skoków, biegu 30 km. dla oficerów, biegu pań oraz juniorów, zgromadziły licznych zawodników. W kombinacji pierwsze miejsce zajął Marusarz St.; w skokach — Łuszczek (pobił obu Marusarzy i Czecha!); oficerski bieg wygrał por. Łętowski, konkurs pań — Polankówna, bieg juniorów — Giewont.

Zwinny Tur.

* * *

W ŻAGLÓWCE DOOKOŁA EUROPY wybrali się dwaj druhowie, Walter i Korniówski. Kupiwszy w zeszłym roku kadłub starej motorówki, przerobili go własnemi siłami i wypłynęli w lipcu z Gdyni na szeroki świat. Były od nich wieści z Brestu i Casablanki. Podobno u wybrzeży Hiszpanji zmienili zamiar i pragną przepłynąć Atlantyk. Już od dłuższego czasu nie było jednak o nich wieści. Czy szczęście służy im nadal?

(x)

Na Tropie Zuchów

Dział Wydziału Zuchów Głównej Kwatery Harcerek.

Praca zuchowa na wsi.

Uwagi poniższe zamieszczamy licząc na to, że inne kierowniczki pracy zabiorą głos w sprawie gromad wiejskich. Prosimy o nadsyłanie żywych opisów, obrazujących życie gromad wiejskich. Równie ważnem byłoby wypowiedzenie się drużynowych, co do ogólnych danych tyczących warunków pracy zuchowej na wsi, oraz jej realizowania.

Słyszy się jeszcze dość często głosy, że pracy harcerskiej na wsi prowadzić się nie da, bo niema odpowiednich do niej warunków, bo praca ta rozbija się o brak izby, brak jakichkolwiek funduszów, a wreszcie i o brak czasu — bo dziecko wiejskie jest bezpłatną siłą roboczą swych rodziców i już od wczesnej młodości musi pracować.

Tak, to wszystko jest prawdą, ale nie można zniechęcać się. Nie sztuka pracować w możliwych idealnych warunkach, —trzeba umieć stworzyć warunki pracy tam, gdzie ich niema.

Kto obserwował życie dziecka na wsi, ten przyzna, że mało jest radości w jego życiu; od wczesnego dzieciństwa pozostawione własnej zaradności, prędko dojrzewa fizycznie i duchowo. Mało interesują się dzieckiem rodzice, nie z braku dobrych chęci, lecz poprostu z nieświadomości i nieraz zwierzenia, lub zapytania dziecka są strofowane, matka nie jest zdolna zrozumieć tego „małego człowieka".

Jest wprawdzie szkoła, nauczyciel czy nauczycielka, ale ci wobec przepełnionych dziś klas nie mogą poświęcić każdemu dziecku wiele czasu.

A dzieci czują potrzebę obcowania i zżycia się z osobą, która je rozumie, a gromada ułatwia zbliżenie się i poznanie psychiki dziecka. Wiem z doświadczenia, jak bardzo dzieci wiejskie lubią zbiórki, same o nie proszą i chciałyby, żeby zbiórka trwała jaknajdłużej.

Jeżeli życie w gromadzie zaciekawia i interesuje — to dziecko i czas na zbiórki znajdzie, cały tydzień tak układa się z domownikami, że przecież raz w tygodniu pozwolą mu iść na zbiórkę.

Miałam wypadki, że dziecko uciekało z domu na zbiórkę, — przyszedł ojciec zapewne z zamiarem zabrania „zapalonego zucha" do domu; przysłuchiwał się przez chwilę nieprzerwanej jego obecnością zbiórce, wreszcie skończyło się na słowach: „Franek jak was pani puści, to przyjdź prosto do domu". No i potem nie miał już Franek kłopotu z przychodzeniem na zbiórki. Jeśli chodzi o miejsce, gdzie mają odbywać się zbiórki, to prawie zawsze w cieplejszej porze roku, a nawet częściowo i zimą są one na wolnem powietrzu; chyba że pogoda nie dopisuje, to wtedy do dyspozycji jest izba szkolna, lub mieszkanie drużynowej.

Najcięższą sprawą jest kwestja finansowa, ale i tę zależnie od pomysłowości gromady da się rozwiązać.

A teraz kwestja dobierania opowiadań; tu napotyka się trudności, bo mało jest książek dostosowanych do pojęć i zainteresowań dziecka wiejskiego.

Pewien oddźwięk życia na wsi znajduje się w „Płomyku" i „Płomyczku" — co z radością dzieci odczytują.

Powsinoga.

Coraz to bogatsze staje się życie gromad zuchowych, coraz to pomysłowsze zwyczaje

* * *

„Słoneczne Promyki" (I krakowska) — stają na zbiórkę gromady w kształcie promieni słońca, pozdrowienie ich brzmi: „Uśmiechnij się". Zuchy te wprowadziły miły zwyczaj opowiadania i pokazywania na zbiórce gromady tego, co zdobyły gromadkami w międzyczasie.

„Leśna gromada" (XII krakowska) — ustawia się w półkole, biegnąc na zawołanie: „Na polankę!" Pozdrawiają się okrzykiem: „Siej radość". Obecność zapisują same zuchy; każda gromadka kredką swego koloru.

Czy słyszał kto o **„Górskich Duszkach"** z Rupienki koło Zwardonia? Niedawno na świat przyszły, z pierwszym większym przymrozkiem, ale chłodu się nie boją i jako prawdziwe Górskie Duszki żyją w górach i lasach. Każdy z nich ma już swoje schronienie w lesie, nad strumieniem lub na wyniosłych odkrytych miejscach, a jako izbę gromady, mają polankę z jednej strony zamkniętą strumieniem, z drugiej lasem. Mają specjalny obrzęd przyjmowania nowicjuszów na swojej polanie, gdzie dziewczynka lub chłopiec zgłaszający się musi wykonać pewne próby.

Ostatnim ciekawym pomysłem jest urządzenie w tej gromadzie konkursu na zebranie piosenek ludowych, których jest bardzo dużo w tej okolicy. W projekcie jest konkurs na legendy, baśnie, których też tu moc.

„Leśne kwiatki" (Białe) — są bardzo młodą gromadą i pod względem czasu istnienia i co do wieku zuchów. Żyją w świecie baśni, wczuwając się w otoczenie, przyrodę.

Najczęściej mają zbiórki w olbrzymim ogrodzie szkolnym. Opowiedziana przez drużynową bajka o zaczarowanym parku dostarczyła im materjału do szeregu zabaw i ćwiczeń. Znają swój park-ogród doskonale, każde drzewo ma już nazwę nadaną przez zuchy.



Zuchy z Jordanowa miały ostatnio następujące ćwiczenie:

Drużynowa opowiedziała im na zbiórce bajkę o „Trzech Duszkach", które powędrowały w świat dla spełnienia jakiegoś dobrego czynu.

Było to w zimie. Jeden postanowił opiekować się ptaszkami, drugi napotkał dom, gdzie leżała chora dziewczynka, pozostał tam i zabawiał ją bajkami, trzeci spotkał złą dziewczynkę i postanowił ją wprowadzić na dobrą drogę. Gdy po roku zjawili się u króla i przedstawili wynik swej pracy — dostali śliczne srebrne gwiazdki.

Zuchy postanowiły podzielić się na trzy części i wyruszyć na poszukiwanie dobrych czynów. (Pracę trzeciego duszka zamieniono uczynnością).

Jak zuchy wywiązały się ze swego zadania?

Dla stwierdzenia tych zobowiązań wędrowała drużynowa od domu do domu. Nie zawiodła się.

Na ogrodach wyrosły karmniki ładne lub mniej piękne, ale zawsze pełne ziarna. W rozmowach z rodzicami dowiedziała się, że od jakiegoś czasu ich Zosię, Hanię czy inną, coś jakby odmieniło: robotę z rąk chwyta, zgaduje myśli. W gromadzie przybyło wiele nowych bajek.

Zuchom tak przypadła ta praca do serca, że znów proszą o podobne ćwiczenie. Drużynowa zaś jednocześnie miała możność w miły sposób zapoznać się z rodzicami i ze stosunkami domowemi zuchów.

* * *

O innych gromadach opowiemy coś ciekawego na przyszły raz, a więc za sześć tygodni.

A może z innej strony Polski zabrzmi odzew na nasze wezwanie: „mówcie nam o sobie". **A. M.**

Rozstrzygnięcie konkursu rysunkowego.

Na konkurs ogłoszony w Nr. 16 „Na Tropie" nadesłano zaledwie **cztery** prace. — Jedną z nich sąd konkursowy uznał za nieodpowiadającą warunkom konkursu, pozostałym zaś trzem postanowił przyznać zapowiedziane nagrody za dobór tematów oraz staranność wykonania.

Nagrody otrzymują:

„Plemię Łowców" z II Warszawskiej Gromady Indjan.

Trzecia Warszawska Gromada.

„Bożęta" — Dziewiąta Warszawska Gromada.

Bardzo słabe obesłanie konkursu nasuwa pytanie: czy drużynowe nie wykorzystują rysunku jako czynnika wychowawczego w pracy zuchowej, czy też brakowało czasu i chęci na zrealizowanie warunków konkursu? Rysunek odpowiada potrzebom wypowiedzenia się dziecka, daje mu wiele radości i kształci w kierunku estetycznym, a jednocześnie umożliwia zastosowanie praktyczne w ilustrowaniu kroniki gromady, ozdobienia kącika zuchowego w izbie itp.

Ivan Scaramanga
Komisarz Międzynarodowy Skautów Greckich.

Skauci w słonecznej Grecji.

(Specjalna korespondencja „Na Tropie".)



Skauci ateńscy w obozie.

Niewiele lat upłynęło od chwili, gdy Skaut Naczelny, Lord Baden Powell założył pierwsze drużyny skautowe w Anglji, kiedy profesor gimnastyki, Lefkaditis, zorganizował pierwszą grecką drużynę skautową w Atenach. Ściśle rzecz biorąc, stało się to w grudniu 1910 roku. Społeczeństwo greckie przyjęło życzliwie ten nowy system wychowania młodzieży, ta zaś odniosła się do skautingu entuzjastycznie. Zaczęły powstawać drużyny jedna po drugiej i pomału ruch rozprzestrzenił się na cały prawie kraj.

W dzień święta narodowego Grecji, 25 marca 1912 r. (25 marca wybuchła rewolucja, która przyniosła niepodległość Grecji) skauci po raz pierwszy wystąpili publicznie. Wzięli oni udział w paradzie wojskowej, defilującej przed rodziną królewską, rządem, przedstawicielami władz cywilnych i wojskowych, korpusem dyplomatycznym, oraz tłumem publiczności, która zwarte szeregi zdyscyplinowanej i służącej pod sztandarem pięknej idei młodzieży przyjęła entuzjastycznemi okrzykami i biciem brawa. Ta owacja była niejako zaaprobowaniem przez opinję społeczną nowego systemu wychowania młodzieży dokonującego się w ramach organizacji skautowej. Nic też dziwnego, że od tej chwili napływ młodzieży do drużyn jeszcze się zwiększył.

W kilka miesięcy później wybuchła wojna bałkańska z Turcją. Skauci spełnili swój obowiązek, oddając się natychmiast do dyspozycji rządu.

Oddali oni wielkie usługi, jako sanitarjusze i gońcy, obejmowali placówki pracy w urzędach wojskowych i cywilnych, organizowali pomoc dla rannych i ich rodzin, oraz dla rodzin żołnierzy padłych na placu boju.

Ponadto starsi chłopcy ćwiczyli młodych żołnierzy a skauci, którzy mogli nosić broń, zaciągnęli się do wojska, jako ochotnicy.

Podobną rolę odegrali skauci greccy w wojnie z Bułgarją (1913 r.) i w wielkiej wojnie europejskiej (1914—18).

Już w r. 1913 powstały pierwsze drużyny skautów wodnych. Podczas wojny powierzono im odpowiedzialną misję: strzec wybrzeży zatoki Saronikos. Skauci morscy pełnili w ten sposób służbę marynarki wojennej.

Rząd grecki w roku 1915 uznał skauting za organizację oficjalną, a w dwa lata później dekret królewski zmienił na korzyść skautingu prawo z roku 1066 (przyznające pewne przywileje żołnierzom, którzy wyszli z organizacji, odpowiadającej do pewnego stopnia dzisiejszemu przysposobieniu wojskowemu), uznając skauting za instytucję niezależną, o pełnych prawach publicznych, pozostającą pod bezpośrednią kontrolą rządu. Sam król zaś, Konstantyn, zachwycony dowodami wartości pracy skautowej, przyjął nad skautingiem protektorat, otaczając go równocześnie swoją opieką.

W uznaniu zasług poniesionych podczas wojen w latach 1912 i 13, rząd przyznał organizacji wojskowe odznaczenia. Za udział w wielkiej wojnie sam król udekorował sztandar organizacji wojskowym medalem zasługi I-ej klasy. Również Czerwony Krzyż odznaczył skauting swemi medalami za służbę sanitarną podczas wojen, jak również medalem zasługi, przeznaczonym dla tych, którzy odznaczyli się przy ratowaniu ofiar trzęsienia ziemi w Koryncie.

Nic dziwnego, że wobec takich zasług Soma Hellion Proskopon (Organizacja Skautów Greckich) rozwijała się pomyślnie.

Z czasem jednak nadszedł dla skautów okres bardzo niepomyślny, który wyniknął z ciężkiego kryzysu finansowego i niezgody dzielącej poszczególne obozy polityczne kraju, będący konsekwencją przewlekłych i uciążliwych wojen (1912 do 1922).

W 1925 r. podjęto jednak wysiłek nad podniesieniem skautingu, który mimo nieprzychylnych warunków dał wynik pomyślny.

Dziś istnieje około 6 tysięcy skautów greckich, licząc już w to drużyny istniejące za granicą (Kair, Aleksandria, Kafrel-Zahiat, Port Said, Cypr i Paryż).

System pracy opiera się na wzorach angielskich i amerykańskich.

Podczas swych obozów i wycieczek skauci spełniaja dużą pracę społeczną wobec ludności wiejskiej, która przyjmuje radośnie swoich młodych przyjaciół, udzielających im różnych wiadomości praktycznych. Zdarza się często, że skauci biorą udział w gaszeniu pożarów. Nie brak ich również w akcji niszczenia owadów - szkodników leśnych i rolnych, oraz w pracy nad zadrzewieniem kraju. N. p. wzgórza Akropolu, Stadu i Lykabetu zostały obsadzone drzewami w większości przez skautów.

Skauci morscy ćwiczą się wyłącznie metodami skautowemi. Nie mniej stwierdzono w marynarce wojen., gdzie skauci morscy przeważnie zaciągają się dla odbycia swej służby wojskowej, że są oni pod każdym względem najlepszymi.

Również i na Jamboree międzynarodowych nie brakło nigdy skautów greckich. Obecnie zaś Komitet Organizacyjny Związku dba szczególnie o zakładanie gromad wilczęcych i drużyn żeńskich. — Niedługo też ma stanąć ufundowany przez Związek pomnik na cześć ponad 50 skautów, którzy zginęli w Azji Mniejszej podczas wojny z Turcją.

Na samym końcu pozostaje mi tylko dorzucić, że skauting grecki zawdzięcza wiele swojemu Naczelnikowi, Antoniemu Benaki, który nawet poza obowiązkami wypływającemi z jego stanowiska, stara się mu pomagać.

Na harcerskim szlaku.

ODPRAWA DRUŻYNOWYCH harcerskich na Śląsku Czeskim i Morawach, odbyła się dnia 8 stycznia br. Na odprawie omawiano bardzo ważne sprawy, jak 20-lecie harcerstwa na naszym terenie, międzynarodowy zlot w Gödölö, pracę w drużynach i wiele spraw aktualnych. — 20-lecie uczci się urządzeniem zlotu harcerskiego w połączeniu z wystawą i walnem zebraniem. Wyda się również broszurę, traktującą o rozwoju naszego harcerstwa. W międzynarodowym zlocie weźmie harcerstwo nasze udział przez wysłanie drużyny reprezentacyjnej. Ze sprawozdania drużynowych wynika, że prawie wszystkie drużyny pracują dobrze. Pięknym objawem jest fakt, że nasze społeczeństwo zaczyna się interesować harcerstwem. Sprawa zakładania Kół Przyjaciół Harcerstwa przybiera realne kształty. (L. S.)

WIGILIJKI HARCERSKIE urządziła w okresie świąt Bożego Narodzenia prawie każda polska drużyna w Czechosłowacji. Wigilijki te, urozmaicone śpiewami, muzyką, popisami pojedyńczemi lub zbiorowemi, cieszyły się wielkiem powodzeniem wśród społeczeństwa. Wiele drużyn naszych bierze udział w akcji niesienia pomocy bezrob., wiele urządza przedstawienia lub inne imprezy, z których część zysku przeznacza na zakupienie środków naukowych dla biednych dzieci szkolnych lub podarunków gwiazdkowych. (L. S.)

REFERAT O HARCERSTWIE został wygłoszony przez dha Miłobędzkiego na dorocznym Zjeździe nauczycielstwa Polskiego we Francji. Zjazd wykazał żywe zainteresowanie harcerstwem, co trzeba uznać za duży sukces naszego Związku do niedawna jeszcze niedocenianego na tym terenie. Obecny rozwój drużyn, których jest dziś około 70 (50 męskich i 20 żeńskich) przypisać należy przedewszystkiem dhowi Drągowskiemu, komendantowi drużyn polskich we Francji.

FILM ILUSTRUJĄCY ŻYCIE VIII GIMNAZJUM państwowego był wyświetlany w grudniu w Krakowie. Pośród licznych obrazków z życia młodzieży ujrzeliśmy tam sceny z życia IX. Krakowskiej drużyny harcerskiej, a mianowicie: fragment z zbiórki drużyny w izbie, piramidę sygnalizacyjną podczas ćwiczeń pokazowych, wesołe buziaki zuchów członków gromady, istniejącej przy dziewiątce krakowskiej, oraz namioty obozu drużyny podczas majówki gimnazjalnej pod Tyńcem nad Wisłą. (S. B.)

ŚW. MIKOŁAJ U HARCEREK I HARCERZY w BYKOWINIE. V-ty Zawiązek do II. MDH. z Kochłowic w Bykowinie, urządził razem z drużyną żeńską „Wieczornicę harcerską", na program której złożyły się: sztuczka p. t. „Imieniny św. Mikołoja", deklamacje, humoreski i monologi. Św. Mikołaj z aniołami rozdawali druhnom, druhom, dzieciom i ich rodzicom podarki. Celem wieczornicy było zapoznanie starszego społeczeństwa z ruchem harcerskim w miejscowości i zachętą młodzieży do wstępowania w szeregi harcerskie. Salę opuszczali wszyscy ubawieni i zadowoleni, przez co uzyskaliśmy przyjaciół, a więc grunt do planowanego założenia Koła Przyjaciół Harcerzy. (Moczka)

HARCERSKIE GNIAZDO W BRZEZINACH ŚLĄSKICH, składające się z 2-ch drużyn męskich i jednej żeńskiej, urządziło w drugie święto Bożego Narodzenia 1932 r. wieczorek z opłatkiem dla rodziców, druhen i druhów. Po przemówieniu prezesa K. P. H. p. Maczkowskiego odbyło się przyrzeczenie piętnastu druhów, które odebrał dh phm Wicik Piotr. Poczem zostały odegrane dwie sztuki teatralne. Po wieczorku odbyła się zabawa harcerska. (Leszek.)

„CZARNA TRÓJKA" Z SZARLEJA (3 M. D. H. im. Zawiszy Czarnego) rozwija dosyć ożywioną działalność. Ma ona własną świetlicę. Istnieje na terenie drużyny orkiestra smyczkowa, drużyna koszykówki, oraz zastęp narciarski. Obecnie drużyna wybiera się na tygodniowy obóz zimowy w Beskidach, z kursem narciarskim. (Leszek.)

KÓŁKO LOTNICZE powstaje w Bielsku przy hufcu. Brawo! (Z. S.)

W CHOCENIU odbyło się z końcem grudnia uroczyste przyrzeczenie 20 harcerzy w obecności Komendanta Hufca, dha Kozińskiego i wielu przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. Poprzedzone ono zostało odegraną przez harcerzy sztuczką. Po przyrzeczeniu przemówił do zebranych przy zapalonej choince ks. Prefekt i podzielił się ze wszystkimi opłatkiem. Miły nastrój tego harcerskiego wieczoru pozostawił jak najlepsze wrażenia na wszystkich obecnych, przyczyniając się tem do propagandy Harcerstwa. (Jotka).

„JASEŁKA POLSKICH HARCERZY" odegrała dnia 25. 12. ub. r. w sali Domu Ludowego II. M. D. H. im. T. Kościuszki w Trzebini pod kierownictwem dha Stanisława Wojcika — drużynowego. Jasełka cieszyła się wielkiem powodzeniem. (J. N.)

WYTYCZNE DLA PRACY SPOŁECZNEJ drużyn ogłosiła w jesieni Komenda Chorągwi Harcerzy Poznańskich. Wytyczne te obejmują między innemi pomoc bezrobotnym i te, ze względu na ich aktualność, przytaczamy: „Składki, pochodzące z pieniędzy zaoszczędzonych, lub zarobku. Zbiórki w naturaljach, odzieży, żywności i t. p. Pomoc w tej pracy komitetom miejscowym. Wskazanem jest, by chłopcy świadczenia na rzecz bezrobotnych i opiekę nad rodzinami bezrobotnych wykonywali za pośrednictwem komitetów i osób starszych. Wyszukiwanie i zgłaszanie rodzin naprawdę potrzebujących. Opieka nad dziećmi rodzin bezrobotnych przez dostarczanie: książek, przyrządów do gier, gier pokojowych, przyborów piśmiennych, pomocy w lekcjach, zabawek — własnego wytworu. Urządzanie stałych gier i zabaw dla dzieci z ulicy, w lecie na placach, w zimie w harcówce. Można wspólnie z harcerzami czy zuchami." (x)

HUFIEC ŻEŃSKI I MĘSKI W TRZEBINI urządził w dniu 23 grudnia 1932 r. „Gwiazdkę Harcerską" dla najbiedniejszych dzieci członków naszych hufców, na którą złożyło się: przemówienie ks. hm. M. Luzara — hufcowego, odegranie kolend przez orkiestrę mandolinową „Czarnokruczej gromady", deklamacje Zuchów, „Szopka" i rozdanie podarków. Obdarowanych zostało około 80 dzieci. W uroczystości gwiazdkowej wzięli udział Prezes K. P. H. wraz z arządem, oraz zaproszeni goście. (J. N.)

15. I. br. urządziło „Koło Przyjaciół Harcerstwa" **w Janowie - Nikiszowcu** — „Opłatek" dla żeńskich i męskich drużyn harcerskich. Zawitało na niego ponad 150 osób: rodziców, członków K. P. H. oraz sympatyków (nadto uczestniczyło w nim przeszło 130 zuchów, harcerek i harcerzy). Najuroczystszym punktem programu było „Przyrzeczenie harc." Odegrano szopkę, a po smacznej herbatce okraszono uroczystość szeregiem pokazów harc. Miłą niespodziankę — herbatkę — przygotowały żony członków K. P. H., pochodzących z miejscowej inteligencji. — Starsze społeczeństwo darzy miejscowe harcerstwo serdeczną sympatją i udziela mu ciągłej pomocy.

Ś. P. DHNA DORA CIEŃSKA, komendantka Żeńskiej Chorągwi Pomorskiej, zmarła dnia 26 grudnia 1932 r. Od najmłodszych już lat rozpoczęła swoją działalność społeczną ucząc potajemnie mowy polskiej dzieci robotników, na dalekich kresach wschodnich w Berdyczowie i pracując w „Kole Kobiet". Tam przetrwała burzę bolszewicką. Internowana w Berdyczowie, uwolniona została po zajęciu go przez wojska polskie. — W 1922 r. przybywa do Polski — na Pomorze. Pracując w K. P. H. w Grudziądzu zaznajamia się bliżej z ruchem harcerskim, a w roku 1924, zamieszkawszy w Toruniu, obejmuje Komendę Chorągwi Żeńskiej. W 1931 r. odznaczona zostaje srebrnym krzyżem zasługi za pracę swą w harcerstwie. Dzięki Jej to ogromnemu wysiłkowi praca harcerska na Pomorzu rozwijała się pomyślnie. Życie Jej było całemu jej otoczeniu wzorem — było wypełnieniem prawa harcerskiego.

Cześć Jej świetlanej pamięci!

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 groszy. Cena numeru 40 groszy. Prenumerata roczna łącznie z dod. „Zastępowy" 7 zł. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w PKO. Katowice Nr. 305.330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: O. Grzbielowa M Kapiszewska, Z. Tworkowska, J. Wierzbiańska, W. Bublewski, J. Grzbiela, H. Kapiszewski, St. Kapiszewski, M. Wierzbiański, O. Żawrocki. — „Na Tropie Zuchów" redagują: dział żeński J. Zwolakowska, dział męski A. Kamiński.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o. Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.